



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

### PIOSENKO MOJA!...

**P**iosenko moja, zmiłkł twój śpiew,  
I zastygł w duszy uczuć rój,—  
Jak jęk odartych z liści drzew.  
Wydaje skargę i duch mój...

Piosenko moja, szukam cię,  
Z tobą mi zgasły blaski zórz,  
Bez ciebie smutno, tęskno, źle,—  
Zawcześnie ciebie żegnam już!

Piosenko moja, dawnych złud,  
Dawnych uniesień wróć mi czar,  
Na chwilę uchyl szczęścia wrót,  
Znów olśnij blaskiem złotych mar.

Piosenko moja, wróć mi znów  
Gorące serce, uczuć moc,  
I skroń, promiennych pełną snów,  
I roje marzeń w cichą noc...

Piosenko moja, baśń mi baj,  
Kołycki echem doleć mnie,  
I zamień życie w cudny raj,  
I kołysz duszę w złotym śnie!

Piosenko moja, nieś mnie, nieś  
W zaklętych krain srebrną dal,  
W zaczarowany błękit gdzieś,  
Gdzie milkną gorycz, smutek, žal...

Piosenko moja, dzwoń mi, dzwoń  
Melodye młodych moich lat,  
Od gorzkich zwątpień duszę broń,  
W tęczowe barwy przybierz świat.

Piosenko moja, wróć mi wróć  
Porywy, zapal dawnych dni,  
Daj silniej kochać, marzyć, czuć,—  
Piosenko moja, powróć mi!

Selim.

## KĘDY DROGA?

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

Wandę Grot-Bęczkowską.

CZEŚĆ DRUGA.

Pociąg kurjerski z szumem i łoskotem wpadł na stację. Z okna wagonu drugiej klasy, wyjrzała blada twarzyczka Cecylii Zielińskiej.

Oczekujące na nią na peronie Amelia i Janina, z serdecznym powitaniem ku niej podbiegły.

— Jesteś, jesteś nareszcie najmilszy zbiegu! — mówiła, ze zwykłą sobie żywością Janina.

— Czy stryj twój pozostał w Berlinie? — pytała Amelka, ze współczuciem przyglądając się zmienionej, wychudłej postaci młodej dziewczyny, która w czarnej, żałobnej szacie wydawała się jeszcze wątleszą i drobniejszą.

Przy boku, an. a zjawił się w tej chwili hrabia Brunon.

— Czy mogę paniom w czemkolwiek dopomóc? — pyta, uściskiem dłoni witając zlumione niespodziewanym jego widokiem panny. — Więc podróżowaliście razem, panno Cecylio, nie o tem nie wiedząc? Nieskończenie żałuję... Byłbym się może przydał pani...

Ścisnął przyjacielsko rękę oślupiałej panienki, spojrzeniem bezgranicznego uwielbienia obejmując zarumienioną lekko twarz Amelki.

Drobna dłoń Cecylii drżała w jego uścisku.

— Nie przypuszczałam... — szeptała nieśmiało, wzruszona. — Więc pan także jedzie z Berlina?

— Tak pani! Jeździłem tam w interesie firmy... Wdzięczny jestem pryncypałowi mojemu za ten pomysł. Inaczej upłynęłyby znowu nieskończenie długie miesiące nimbym panie ujrzał...

Głębokie oczy jego w twarzy Amelki utkwione, płonęły uczuciem rozradowania wielkiego.

Cecylia słuchała, nie nie pojmując.

„Firma, pryncypał...” Były to wyrazy obce dotąd w arystokratycznym słowniku hrabiego. Co to znaczy?

Jakże on się zmienił! Zmężniał, spoważniał... Przybyło mu energii w ruchach i spojrzeniu; nawet strój do przesady przedtem wykwiniony, teraz skromny był, choć elegancki.

Służący panien Krasnohorskich nadszedł z wiadomościem, że bagaż p. Zielińskiej odebrany.

Panienki pospieszyły do karety.

— Czy mogę oznajmić odwiedzin pańskie rodzicom, hrabio? — odezwała się uprzejmie Janina. — Pan już o nas zapomniał? Ktoby przypuścił, że mieszkając w jednym mieście, nie widzieliśmy się rok cały...

— Panie wyjeżdżały, ja mam dosyć zajęcia... — odparł hrabia, ale Janina nie ustępowała.

— Nie tłumacz się hrabio... W kółku nowych zajęć i znajomości, zapomniałeś o dawnych... — mó-



wiła, z niezwykłą u niej dotąd dla Brunona życzliwością.—Wszak to zwykła kolej rzeczy...

Brunon uśmiechnął się melancholijnie.

— Zadzroszczę tym, którzy potrafią zapominać...—odparł żartobliwie na pozór, lecz oczy jego na Amelkę wciąż zwrócone nadawały słowom głębsze znaczenie.

Cecylia pomieszana, drżąc sflumiała westchnienie. Jakże pięknym jej się wydał po paru latach niewidzenia, jak kochania godnym.

Gdy w chwilę potem, karetą potoczyła się po bruku i postać hrabiego zniknęła jej z oczu, przytuliła głowę do ramienia Amelki szepcząc rozrzewniona:

— Jakżem szczęśliwa, że jestem znowu z wami!...

— A my byliśmy w obawie że stryj cię nie puści od siebie.—rzekła Janina.—Czy bardzo odczuł stratę żony?

Cecylia zawahała się z odpowiedzią.

— To jest... oczywiście...—jąkała się — ale widzisz Janiu, stryjenka tak długo i ciężko chorowała, tak nam było boleśnie patrzeć na jej męczarnie...

— Pojmuję... — odparła Janina.—W takich rzeczach egoistycznym byłoby pragnienie przedłużania cierpienia... Zresztą, wszak to już kilka miesięcy upłynęło...

Karetą zatrzymała się przed pałacem Krasnorskich.

— Jesteś u siebie dziewczeczko...—wyrzekła z uczuciem p. Helena, po macierzyńsku witając Cecylię.—Bądź przekonana, że masz tu serca życzliwe i kochające. Ale jak ty zmizerniałaś, Cesi?

Dziewczęciu łzy w oczach zabłysły. Odwykła już od pieszczot i życzliwego słowa.

P. Helena widząc jej wzruszenie, z delikatnością sobie właściwą zmieniła rozmowę.

— Odprowadźcie Cesię do jej pokoju, niechaj przed obiadem wypocznie—rzekła do córek.

Westchnienie poruszyło jej pierś gdy ścigała okiem drobną, wychudzoną postać znikającą w drzewach Cecylii.

— Sieroctwo, brak materyjalnej w życiu podstawy w obec tak nieodpowiednich warunków fizycznych... — szepiała z żalem. — Smutna dola, trudne istnienie!—dodała porównując zdrowe, piękne postacie córek, pozycję ich materyjalną i socyjalną.

I to porównanie właśnie, spotęgowało jeszcze tkliwe dla sieroty uczucia.

Dziewczęta tymczasem, trzymając się za ręce, do pokoju Cesi pobiegły.

Tyle miały sobie do opowiedzenia! Prześcigały się przytem, by jak najwięcej oznak przywiązania swego przyjaciółce okazać.

W oczach Cesi przecież wciąż krople łez błyszczały, drżały usta i głęboki jej smutek spędził uśmiech radosny z twarzy Amelki i Janiny.

— Jakżem wam wdzięczna!... — szepiała sierota z goryczą której nie była w możności ukryć.—Ofiarujecie mi tak wiele... Mnie—nie posiadającej już nic, nie z tego, co w waszym świecie ma wartość jakakolwiek.. Wdzięczna jestem, powtarzam, ale i głęboko upokorzona. Odbierać łaski tyle, nie wzamian nie dając...

Amelka pocałunkiem zamknęła jej usta.

— Cesi, ani słowa więcej!—zawołała.—Niedobra jesteś, niepoceziwa!

— Dziwaczka, jak zawsze!—dorzuciła Janina.—Wstydz się!...

Karciła Cecylię, pieszczotą wynagradzając szorstkie nieco słowa.

— Najboleśniejszym cierniem ubóstwa, jest upokorzenie... — wybuchnęła rozżalona dziewczyna. A czyż nie jest upokorzeniem przyjmować od rodziców waszych dobrodziejstw tyle?—Wy jeszcze nie wiecie wszystkiego, moje drogie—mówiła, pochylając czoło. — Na całym szerokim świecie nie mam już nikogo, nie mam dachu nad głową, ani kawałka powszedniego chleba. Jeśli nie nauczę się pracować, mizerna moja osoba nie ma racji bytu... Stryj, stryj się żeni...—dokończyła cichutko, oblewając się rumieńcem wstydu za tego starca, który tak rychło zapomniawszy o zmarłej żonie—pozwoił się usidlić ładnej lecz niegodnej kobiecie, nie zważając na wiek późny ani na przeszłość swoją.—Stryj żeni się z gospodynią, która się zajmowała domem podczas choroby stryjenki...

Okrzyk zdumienia wyrwał się z piersi dziewcząt. Wiadomość ta, niespodziewana brzydota swoją raziła wytworne ich umysły.

— Cesi, czy to być może?—pytała Amelka nie mogąc uwierzyć temu, co usłyszała.

Na ustach Janiny pojawił się sarkastyczny uśmiech.

— Ale czemuż cię to dziwi, Melo?—wyrzekła, wzruszając ramionami.—Mężczyzna jest tak słabym, że bardzo szybko da się obłąkać choćby najniegodniejszym uczuciom. Oni są tak drażliwi na każde wrażenie ci pałowie stworzenia których wyższość uznawać nam każą...

— To oburzające — zawołała Cesia. — Starzec przecież nad grobem stojący, od którego należałoby spodziewać się rozsądku, godności... Wszak cięży na nim odpowiedzialność za sponiewieranie nazwiska w takim niegodnym związku... W cóż się obróciły piękne słowa Arystotelesa: „każdy jest ojcem swych czynów tak jak swoich dzieci...” Jakaż to hańba dla rodziny... Jaka upokarzająca spuścizna!

Cesia płakała cicho, Janina wzburzona przebiegała pokój.

— Jeżeli już na rozsadek blisko 70 letniego starca rachować nie można, to cóż dopiero mówić o młodych. —wyrzekła z ironią.

— Nie chcę temu wierzyć, Cesi—odezwała się Amelka.—Z pewnością cały ten plan zręczną intrygą uknuty rozbewieje się, gdy stryj zastanowi się nad nim...

— Nie łudź się...—odparła stanowczo Cesia.—Dla tego przyspieszyła wyjazd... Ta pani, która wkrótce miejsce stryjenki zastąpi, powiedziała mi aż nadto wyraźnie że pobyt mój w domu stryja niepodoba jej się i radzi abym zawczasu myślała o sobie... Ach, jaka to okropna kobieta! Nie oszczędziła mi niczego, żadnej przykrości, żadnego upokorzenia! Te miesiące kilka przebyte z nią od śmierci stryjenki, na zawsze utrwalały mi się w pamięci.

— Czy mówiłaś o tem stryjowi? — spytała Amelka.

Cecylia uśmiechnęła się smutnie.

— Stryj jest zupełnie zawojowany... Wierzy święcie we wszystko, w co ona wierzyć mu każe. Przed wyjazdem moim, stryj uczył się trochę dotkniętym, posłyszawszy, jak z dotkliwą ironią odezwała się do mnie w te słowa: „Niech panna nie myśli, że jej tu pozwolę rządzić... Niech się panna weźmie do pracy i na stryja majątek nie patrzy... Ja go nie pozwolę okradać...” Nie umiem wam opisać, co się ze mną działo... Wstyd mi wyznać, ale niegodne obejście tej kobiety doprowadziło mnie do takiej rozpaczki, że, zważywszy zwłaszcza jak jestem niedołązną chciałam... postanowiłam...

Zająknęła się i spuściła oczy.

Janina i Amelka zrozumiały ją.

— Biednaś ty, biedna Cesi!...—szepnęła Amelka, a Janina ze zwykłą energią dodała:

— Głupiotka! Ach, gdybym ja tam była na twojem miejscu... Ale cóż stryj na to?

— Stryj? Gniewał się z początku... — odparła Cecylia.—Wtedy właśnie poznałam, jak mało mogę liczyć na niego. Zakrzyczany przez nią, zmilkł i wieczorem dopiero z nieobecności jej korzystając, wsunął mi dwa storublowe banknoty ze słowami: „schowaj to dziecko... Niech ona nie widzi...” Wierzajcie mi, to była najokropniejsza w całym nie wesołym dotychczasowym moim życiu chwila. Piółunową jej gorycz czuję dziś jeszcze.

Z piersi jej dobył się jęk głęboki.

Dziewczęta słuchały pognębione i żal nad Cecylią potęgował ich czułość i przywiązanie.

— Przyszłość jest w twoich rękach Cesi,—przemówiła wreszcie po długiej chwili milczenia Amelka.—Masz zdolności wrodzone i wykształcenie; jesteś przytem prawą i dobrą dziewczyną i byleś wyrobiła w sobie energię, łaski nieczyjej potrzebować nie będziesz...

— Czy to nie złudzenie, Melo?—wyszeptała znechękana Cesia.—Właściwie, nie umiem nic i do niczego nie zdalna. Stryjenka powtarzała mi to zawsze nie bez racji...

— I wmówiła w ciebie, ty nierozsądne dziecko — zawołała Janina całując ją. — Jakże to szczęście że zakres działalności kobiecej rozszerzył się obecnie. Coraz mniej szycan, coraz mniej ścieśnień doznają kobiety. Już teraz nie damy się odepchnąć od

wspólnej skarbnicy. Droga nauki, droga pracy — równo dla nas jak i dla mężczyzn otwarta. Każda z nas powinna czuć się obywatelką, każda obowiązki swoje rozumieć i wypełniać.

Cesia słuchając, uśmiechała się.

— To bardzo pięknel—wyrzekła z odrobiną ironii.—Czy nie przypuszczasz jednak, że uczucia nasze będą wysmiane, godność obrażona, nasze bohaterstwo i wysiłki wszystko poczytywane będzie za historyczny objaw niezdrówego stulecia. Ileż ja to już razy słyszałam!...

Janina oburzyła się.

— Potęga prawdy wszystko zwycięży, — zawołała z zapałem. — Pójdźmy do celu prosto i ochocho a przekonamy się, że i dla kobiet samotnych lub popychanych koniecznością zarobku istnieje cicha, spokojna przystań. Będziemy obiedwie pracować Cesi, bo i mnie daszno w tych pięknych, wywoskowanych salonach, dokucza mi nuda wśród banalnych rozrywek i, rozstałam się już dawno z marzeniem o domowym ognisku wspólną miłością dwojga wybranych istot opromienionem.

Roześmiała się sztucznym, niemiłym śmiechem, który podrażnił Amelkę.

— Janiu! — szepnęła upominająco. — Nie masz prawa tak mówić. Jesteś kochaną i to kochaną przez człowieka ze wszech miar godnego szacunku i zaufania. Cóż cię odpycha od niego? Kaprys i nieszczęsne owe pesymistyczne poglądy, jakimi cię napałił Malski i jej podobne, kilka przykładów z życia, które przecież prawidła stanowić nie mogą...

Cesia łagodne, błękitne oczy ze zdumieniem wlepiła w twarz Janiny. Jaki? więc istniała istota wyrzekająca się dobrowolnie słodkiego uczucia miłości i rozkoszy rodzinnych? Wszak jednym z najżywszych i najczystszych źródeł szczęścia ludzkiego jest właśnie miłość małżeńska, miłość macierzyńska...

Wyniosła postać Brunona zamajaczyła w jej wyobraźni, przedziwnie harmonijna i pociągająca. Wspomnienie o nim, krzepiło ją wielokrotnie w ciągu długich nieskończenie miesięcy, osładzało gorzkie chwile sieroctwa. Delikatna, baczna na wszystko uprzejmość jego, wytworna grzeczność dobrze wychowanego człowieka, dla niej posiadała czar jakiś odrębny i otwierała pole do złudzeń i marzeń nigdy nieureczywistnionych.

Pragnęła spytać o niego, dźwięk jego imienia posłyszeć i wahała się, onieśmielona.

Amelka jak gdyby myśli jej odgadując, sama o hrabiego zaczęła.

— Czy uważałaś Cesi, jak się hrabia zmienił? — pyta, chcąc oderwać myśl przyjaciółki od jej własnych trosk i rozpamiętywania nad rzeczą nieuniknioną już choć tak bolesną. — I nie tylko powierzchniowo. Wyznaje, że nigdy nie przypuszczałam, aby potrafił zagłuszyć w sobie i pychę rodową i arystokratyczne nawyknięcia...

— Jestem niesłychanie zdziwiona...—wyszeptała Cecylia z rumieńcem. — Hrabia jakoś inaczej teraz wygląda...

— Jak przystało na przemysłowca...—uzupełniła Janina.

— Przemysłowca? Cóż ty mówisz? Nie wystawiajcież mojej ciekawości na zbyt długą próbę...—prosiła Cesia z rzadką u niej żywością.

Amelka z powagą głos zabrała.

— Wyobraź sobie kochanko,—rzekła,—że hrabia, ten gładki, wytworny salonowiec przesiąknięty na wskroś przesadami jest obecnie buchalterem w jednej ze znanych i szeroko w kraju rozgałęzionych firm handlowych. Sprzykrzyło mu się nareszcie robienie długów i takie życie z dnia na dzień, bez przyszłości, a z terażniejszością srodze upokarzającą...

Jaskrawy rumieniec oblał twarz Cesi.

— Bywają czasem okropne położenia...—wyszeptała.

Amelka wstrząsnęła głową.

— Mężczyzną jest przecie i nie brak mu było środków do zdobycia sobie stanowiska niezależnego...—odezwała się z powagą. — Teraz kobieta nawet potrafi sobie być wywalczyć.

— Choroba woli!—wtrąciła nawiasem Janina.—Epidemiczna i chroniczna!...



— A widzisz, że nie! — zaprzeczyła z tryumfem Cesia. — Hrabia wyleczył się...

— Może to być chwilowe tylko polepszenie... — roześmiała się Janina. — Nie dowierzam takim zepsutym paniczom. Pewnego pięknego poranku przyjdzie recydywa...

— Nie zarażaj innych swoim szkaradnym pesymizmem, — zawołała żywo Amelka. — Dla czego hrabia nie miałby zasmakować w życiu pracowitem, spokojnem... Zapewniam cię, Janiu, że skoro raz już uczynił krok naprzód nie cofnie się... Zerwał z przeszłością na zawsze...

— Czy hrabia częstym jest u was gościem? — spytała nieśmiało Cesia.

— Weale nie! — odparła Amelka. — Słyszałaś przecie jak mu Jania czyniła wyrzuty. Hrabia w ciągu ubiegłego roku ani razu nie był u nas...

— Dźwiga się moralnie i materyalnie, — żartowała z udaną powagą Janina. — Wiecie moje drogie? Mam silne podejrzenie, że w tym niespodziewanym przewrocie bożek miłości odegrał poważną rolę..

Amelka zmieszana odwróciła głowę. Cesia z nieokreśloną trwogą spojrzała na Janinę.

— To prawdopodobnie! — szepnęła. — Czy znacie przedmiot uczuć hrabięgo Brunona?

Amelka wzruszyła ramionami.

— Jak gdybyś nie wiedziała że Jania ze wszystkiego żartować lubi.. — odezwała się, przysuwając stolicek z herbatą do kanapki, na której Cesia odpoczywała. — Pij, póki gorąca... Masz tu i ulubione swoje ciasteczka... Wyglądasz blade po podróży...

Pogładziła splecione nieco warkoczki Cecylii i pocałowała ją serdecznie.

— Jak to dobrze żeś ty już z nami, Cesiu najdroższa! — mówiła z uczuciem.

Cesia z wdzięcznością odwzajemniała pieśczęty, ale myśl jej była gdzie indziej.

Co skłoniło Brunona że porzucił dotychczasowy tryb życia, kto była ta kobieta, która popełniła go do tego?

Zadrość szarpnęła jej sercem, ból nieopisany! Nie słyszała prawie co mówiła do niej Amelka, nie zauważyła badawczego spojrzenia Janiny śledzącej grę jej rysów.

Lokaj wniósł bilet i podał go Amelce.

— Jadzia, Jadzia! — zawołała czytając Amelka. — Powiedzieliśmy jej wczoraj że przyjeżdżasz... Poczciwa przybiegła cię powitać, Cesiu... Wprowadź panią Jedłowiecką do salonu — rozkazała służącemu podnosząc się żywo. Cecylia z uśmiechem spojrzała na Janinę.

— Więc pozwoliłaś się wyprzedzić Jadzi? — spytała żartobliwie. — Ona najprędzej znalazła sobie tego wymarzonego bohatera z brodą i romansowem oczyma?... Bardzo przystojny jest p. Jedłowiecki.

— Zkądże ty go znasz? — spytały panienki zdziwione.

— Odwiedził mnie, będąc w Berlinie przed kilku miesiącami, — odpowiedziała. — Jadzia wówczas przysłała mi fotografię swoją i męża.

— To poczciwie z jej strony, — rzekła Janina. — Jadzia bardzo korzystnie się zmieniła.

— Oczywiście, kochają się bardzo i Jadzia w związku tym znajdzie niewątpliwie szczęście? — pyta Cecylia, tęskny wzrok topiąc w twarzy Janiny. Jania wybuchnęła śmiechem.

— O! — mówi z ironią — czas to dopiero pokaże... Obecnie, Jadzia znajduje się w tej epoce, kiedy to o niczem się nie myśli, nad niczem nie zastanawia. Tem przykrzejsze będzie przebudzenie.

— Nie słuchaj jej, Cesiu! — zawołała Amelka. — Smutną zmianę odkryjesz w Jani. Ale o tem później... Biegnę do Jadzi... Wypij herbatę Cesiu i przychodź do nas...

W salonie, młoda pani Jedłowiecka opowiadała z ożywieniem p. Helenie o doskonałych przymiotach nieocenionego swego małżonka.

— Czy pani uwierzy, — mówiła z głębokim przekonaniem, — kucharka przypaliła wczoraj leguminę a do kompotu dodała cynamonu, którego mój Czesław nie cierpi... Byłam pewną, że się rozgniewa, że będzie mi czynił wyrzuty aż nadto słuszne, nieprawdaż? Boć ja przecie, jako dobra i kochająca żona powinnam o wszystkim pamiętać. Tymczasem mój poważny małżonek odsunął półmisek z leguminą mówiąc bardzo oględnie: „zbyt mocno się zrumieniła“ i ani słowa więcej.

Janina, która wchodząc posłyszała ostatnie wyrazy roześmiała się szyderczo i rzekła:

— Jakto? Więc w kilka miesięcy po ślubie twój idealny małżonek umie już odróżnić zbyt zrumienioną leguminę? Ależ to okropne! Mając ubóstwianą kobietę przy swoim boku, pojąc się czarem spojrzeń jej i uśmiechów zwracać uwagę na taką grubą prozę jak cynamonowe kompoty i przypalone biszkopty... Cóż to będzie z wami za jakie lat dziesięć, Jadwisiu?

Całowała przyjaciółkę śmiejąc się serdecznie a korzystając z tego, że matka opuściła pokój dodała poważniej:

— Biednaś ty i żałuję cię!... Oni wszyscy nie warcą ani miłości naszej, ani poświęcenia. Jakże mi cię żal, Jadwiniu! Prędeż, później rozczarujesz się... Zobaczysz!

Ale pani Jadwiga z najwyższym oburzeniem okrzyknęła się przeciwko takiemu pogładowi.

— Janiu, Janiu! — wołała, załamując wypieszczone rączki, — to ja raczej żałować cię powinnam! Trujesz się pesymizmem jak inni morfiną, a następstwa będą jedne i te same, przekonasz się! Powoli, ze świadomością zupełną wchłaniasz w siebie truciznę, aż wreszcie nastąpi...

— Rozkład! — przerwała pompatycznie Janina. — Ogólny koniec wszechrzeczy. Czy możesz mi zaprzeczyć?

W oczach Jadwigi błysnęło przerażenie. Młoda, kochająca i kochana małżonka której uśmiechała się wkrótce nadzieja macierzyństwa, uczuła żal do przyjaciółki. Po co przypomina jej, tak ufnej i szczęśliwej, kres istnienia któreby ona na wieczność całą przedłużyć chciała? Po co ją rozgorycza niewiarą, kiedy ona chce wierzyć i musi wierzyć i bez wiary tej, żyćby nie potrafiła.

— Co się z tobą zrobiło, Janiu? — mówi po chwili, wstrząsając swoją piękną w bogate loki strojną główką. — Pamiętasz ów pożegnalny wieczorek kiedy to opuściwszy pensję zebrałyśmy się u was? Rwałaś się do życia i jego rozkoszy, pragnęłaś wyjść za mąż jak najprędzej.

— Ale teraz nie pragnę... — wybuchnęła Janina. — Miłość nie znajdzie nigdy przystępu do mego serca, bo je trwoga aż nadto opancerzyła. — Czyż ja nie widzę, nie czuję, nie cierpię z życia smutnych przykładów? Mrzonki, ułuda! Niema szczęśliwych małżeństw, niema miłości! Nawet poeci i beletryści zaczynają jej się sprzeniewierzać...

Śmiała się nerwowo, zagryzając usta, mnąc wachlarz z piór, którym rozpaloną twarz kiedy niekiedy chłodziła.

Jadwiga z żalem patrzyła na nią.

— A jednak — odezwała się łagodnie — bez tych mrzonek, jak je nazywasz, bez iluzji, życie nasze byłoby bardzo smutne. Otaczają nas one ze wszystkich stron i zrywać ich bezkarnie nie możemy. Lepiej się łudzić i tym sposobem zachować równowagę ducha roztaczając w koło siebie spokój i harmonię, niżeli rozgoryczać się i zatruwać życie nie tylko sobie, ale i drugim. Coby też biedny mój Czesław powiedział, gdyby powróciwszy do domu po obowiązkowych trudach dnia, zastał żonę kwaśną, filozofującą, w rozterce samą z sobą, goniącą za jakimiś sztucznymi wrażeniami... Cha, cha, cha! — dokończyła, wybuchając śmiechem szczerą wesołości, — to dopiero byłaby przyjemna niespodzianka! Drogi, kochany mój mężulek i jak ja go kocham, kocham, kocham!

Zerwała się z fotela i zarzuciła ręce na szyję Janiny.

— Staraj się i ty pokochać, Janiu... — szepnęła. — Oprócz miłości małżeńskiej jest jeszcze coś, co przywiązuje kobietę najsilniej, najgoręcej... źródło nieprzebrane słodyczy i rozkoszy... coś, co każe nam zapomnieć o sobie, poświęcić się nieograniczenie. Wkrótce... — śliczny rumieniec oblał twarz młodej kobiety i oczy łzami zabłysły, — wkrótce Janiu, przekonam cię, jaki to piękny, przepiękny cel każda z nas ma przed sobą...

Ukryła zaplonione oblicze na piersi Janiny bezmiernie dumna i szczęśliwa.

Przypomniała jej się, że Czesław gdy wyjeżdżała do Krasnohorskich, przytulił ją do serca i, zagładając w oczy figlarnie niby a przecież drżącym od wzruszenia głosem szepnął jej do ucha: „ostrożnie ukochana! proszę uważać na siebie...“

Jej; słowa te jak najcudniejsza melodia brzmiały dotąd w uszach...

Cesia z Amelką trzymając się za ręce wbiegły do salonu.

Nastąpiły serdeczne powitania, uściski. Jadwiga ubolewała nad Cesią, pieściła bladą dziewczeczkę i pocieszała.

— Będziemy razem pracować, razem się cieszyć i kłopotać — dowodziła z powagą. — Na sobotnich moich zebraniach Cesia znajdzie niewątpliwie rozrywkę, a nawet pożytek dla umysłu. Czesław jest niesłychanie trudnym i wymagającym w wyborze gości.

— To prawda! — potwierdziła Amelka. — Z początku lękałam się tych powag uniwersyteckich, zwłaszcza że przeważnie są to już ludzie niezbyt młodzi...

— Dumna jestem, że mąż mój, przewodniczący uczącej się młodzieży, — odezwała się Jadwiga z wesołym uśmiechem. — Bawi mnie to ilekroć usłyszę odnośnie do mej małej osobki wygłoszone pompatycznie: „pani profesorowa...“ Anim przypuszczała kiedykolwiek, że mizerna moja osobka potrafi w poważnym profesorze uniwersytetu wzbudzić zajęcie i...

— Pozwól sobie duszko! — roześmiała się Janina — i z rozradowanej piersi wyrzuciła potężne słowo: miłość! To bardzo wzruszające!

Jadwiga zamknęła jej usta pocałunkiem.

— Niepoprawna! — rzekła, grożąc nieprzejednanej dziewczynie. — Uwierzysz ty kiedyś i zegniesz hardą postać w obec tego, który całą twoją istotą zawładnie. Wtedy przypomnę ci...

Ale Jania zastoniła uszy rękoma.

— Dostyć, dostyć Jadziu, bo ucieknę! — wołała z komicznym przerażeniem.

I istotnie też wkrótce odbiegła; a gdy w salonie rozbrzmiewał śmiech i ożywiona gawęda, ona smutną twarzą przycisnęła do szyby zwątpiała, rozgoryczona.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## RUCH MUZYCZNY.

W dniu 19 b. m. Warszawskie Towarzystwo Muzyczne obchodziło uroczyste dwudziestą piątą rocznicę swego istnienia. Na uroczystość tę przygotowano się bardzo starannie. Najpierw ogłoszono konkurs na poloneza, następnie zaproszono do uczestnictwa w obchodzie dwóch byłych dyrektorów towarzystwa: Józefa Wieniawskiego i Władysława Żeleńskiego, wreszcie — kiedy nadszedł dzień świąteczny — urządzono wielki koncert jubileuszowy z programem niezwyklej piękności.

Patronat nad tym koncertem roztoczyli dwaj nieśmiertelni mistrzowie: Chopin i Moniuszko, których dzieła pomieszczone na czele; za nimi szły imiona następców: Żeleńskiego, Noskowskiego, Wieniawskiego i Zarzyckiego, dzierżących w swoim czasie pateczkę dyrektorską w Towarzystwie. Z tej czwórki brakowało Zarzyckiego, przedwczesnie do grobu zesłego; reszta zjawiała się na estradzie, pełna sił zarówno fizycznych jak i duchowych.

Szkoda, że między kompozytorami brakło na programie nazwiska p. Adama Münchheimera.

Wśród zgromadzonych na koncercie słuchaczy panował nastrój bardzo serdeczny; nie pamiętamy dawno takiego zapału i takich szczerzych owacji dla kompozytorów i wykonawców; świadczy to o rzeczywistym głębokim względem prawdziwych artystów uwielbieniu naszej muzykalnej publiczności.

Oprócz dzieł wyżej wymienionych twórców, wykonano pracę Józefa Sikorskiego, który w Warszawie ongi krzewił zamiłowanie do sztuki i redagował fachowe pismo muzyczne.

Koncert rozpoczął się polonezem jubileuszowym p. Pileckiego, nagrodzonym na konkursie towarzystwa. Nie można odmówić tej pierwszej pracy młodego kompozytora znamion artystycznych, ale w utworze konkursowym nie przebija się jeszcze



oryginalność lub samodzielność talentu, widzimy tu tylko ślad przyrodzonych zdolności autora, w dobrej kształconego szkole; o natchnieniu niema tu nie do nadmienienia, robota zaś jest weale zręczna, choć nie bez zarzutu.

Oklask, jaki od względnej i przychylnie usposobionej publiczności, otrzymał p. Pilecki, powinien być dla niego zachętą do wytrwania w obranym zawodzie.

Entuzjastycznie powitano wchodzącego na estradę Józefa Wieniawskiego. Znakomity pianista i kompozytor musiał długo dziękować za przyjęcie; po kilku minutach uspokoiło się w sali — i zasłużony mistrz mógł wykonać piękny swój koncert, Elegię Moniuszki, Etudę Chopina, wreszcie własną „Suite romantyczną.“ Jako kapelmistrz i jako wirtuoz zajął Józef Wieniawski w całym blasku. Kompozycje jego posiadają dużo poezji i melodyjności oraz technicznych zalet; gra zaś tego pianisty jest miękka i subtelna, jakkolwiek nie porywa siłą.

Władysław Żeleński wystąpił z kilku perłami swojego niepospolitego natchnienia. Jestto twórca, obdarzony wielką mocą muzycznego słowa i dramatycznej ekspresji. Wszystko, co z pod tego pióra wychodzi, odznacza się charakterem rodzimym, werwą i sentymentem, do duszy przemawiającym. Wyborne opanowanie środków technicznych pozwala Żeleńskiemu rozwinać swobodnie skrzydła natchnienia i każdy pomysł przyoblec w kształt rzetelnie artystyczny.

Będziemy mieli sposobność bliższego zapoznania się z dziełami Żeleńskiego na jego koncercie kompozytorskim, który się odbędzie w przyszły poniedziałek.

Zygmunt Noskowski dyrygował wywieszoną przez siebie „Lirą“, która wykonała: „Chór strzelców“ Żeleńskiego, „Zaszumił las“ Noskowskiego i „Do pieśni“ Sikorskiego.

Z solistów wzięła udział tylko p. Józefa Szlezycierówna, mistrzyni — pieśniarka. Śpiew znakomitej artystki sprawia słuchaczowi prawdziwą rozkosz, tyle w nim prostoty i stylu zarazem, świeżości uczucia i precyzji. Nie chciano po prostu pozostać się z wysoce utalentowaną artystką, która odśpiewała pieśni Żeleńskiego: „Z łak i pół“, „Dzieje serca“, „Co mi tam!“, Zarzyckiego „Marzenia dziewczyny“ i „Pieśń wiosenną“, Wieniawskiego „Zachwylenie“, bisując utwory, wreszcie zaś trzykrotnie na powszechną prośbę wykonała „S“ „wroneczka“ Z. Noskowskiego.

Przepysznie akompaniował p. Szlezycierównie niedościgniony mistrz w tym kierunku, pan Ludwik Urstein, którego udział przyczynił się również do podniesienia estetycznych wrażeń jubileuszowego koncertu.

Należy się szczerą pochwałą i gorącą zachętą młodej orkiestrze, którą utworzył komitet wystawy higienicznej. Debiut tej orkiestry w jak najkorzystniejszym świetle zarekomendował ją publiczności, która nie szczędziła dzielnie drużynie hucznych oklasków.

Adam Dobrowolski.

## List z Anglii.

Święta wielkanocne są tu obchodzone bardzo uroczysto, w gronie przyjaciół. gdy przecież przemina, rodziny ziemiańskie wybierają się co żywo do miast, do Londynu zwłaszcza, gdzie ci którzy nie posiadają własnych pałaców, wynajmują mieszkania urządzone na ich przyjęcie a wydzierżawiane zwykle od początku maja do pierwszych dni sierpnia, to jest po koniec zebrań parlamentu, który to czas jest też w Anglii karnawałem. Bałe, rauty prozorne obiady nie ustają i najwięcej ślubów odbywa się w tej porze, a jest tu zwyczajem rozsyłać liczne zaproszenia nietylko do bliższych przyjaciół, ale i znajomych na wesela, które odbywają się zwykle bardzo okazale, a jest to dobry zwyczaj, bo dzień ten przedstawia dla łączącej się pary ludzi najważ-

niejszą, najuroczystsą chwilę życia, której wspomnienie zachowuje się w pamięci oblubieńców.

Teatra wystawiają też zwykle o tej porze nowe sztuki, odbywają się również i liczne koncerty, a że słońce rozpędza o tej porze mgły, które ciągną od morza, miasto przybiera postać wesołą i świątynię nawet tak w Londynie jak w Edynburgu odziewają się w szaty uroczyste a nigdzie chyba nie ma tyle co tu kwiatów przeznaczonych na przystroj ołtarzy w starożytnych pysznych wazonach, przechowywanych z wieku na wiek. Średniowieczne hafty szyte złotem i srebrem, przeważnie włoskiego stylu, zdobią aparata kościelne, a dodać trzeba że duchowieństwo anglikańskie przechowuje je bardzo starannie, a że ołtarze są niemal wszystkie w stylu gotyckim, podobnie jak ich przybrania, sprawia to wrażenie bardzo poważne i uroczyste. Jest też tutaj zwyczajem, że urządzają się przeważnie w miesiącu maju wystawy starożytnych zabytków sztuki religijnej. Zieleń i kwiaty zdobiją zwykle przedmioty wystawione i sprawia to niewypowiedzianie piękny w kontraście swym widok tej świeżości darów wiosennej przyrody z zabytkami upłynionych wieków.

Królowa Wiktorya bardzo się tem zajmuje i królewska szkoła ręcznej sztuki kobiecej w South Kensington wyrabia według wzorów starożytnych artystycznie piękne rzeczy szczególnież do ozdoby świątyń i otwartą będzie w maju wystawa tych przedmiotów z trwaniem czasu miesięcznym. Kobiety angielskie zasługują się niewątpliwie krajowi swemu zajmując się kwestyami rozmaitego rodzaju, zwłaszcza w kierunku filantropii. Jedną z pośród nich, mistres Anna Kinsford, poetka i powieściopisarka, wystąpiła wraz z przyjaciółką swoją, miss Cobbe, przeciwko okrucieństwu wiwisekcyi. Jakkolwiek egzaltowana i wizjonerka pracowała nie bez skutku nad tem, aby okrucieństwo tych operacji na żywych zwierzętach zostało usuniętem i chociaż nie dopięła swego celu, niemniej pisma jej w zakresie szlachetnych uczuć miłosierdzia nad wszystkim, co cierpi, nie przeszły bez skutku, wzruszając w sercach ludzkich tkliwiość litosną na cierpienia wszelkiej istoty żywej, co zagradza drogę dzielnemu okrucieństwu, strącającemu człowieka do stanu zwierza.

W pierwszych dniach bieżącego miesiąca mieliśmy tu uroczystość, która zajęła żywo wszystkie te osobistości w Londynie, które zajmują się z jednej strony sztuką, z drugiej mają poczucie łączności bieżącego czasu z przeszłością. Otworzonym został świeżo wzniesiony budynek jakoby nowe skrzydło wspaniale obszernego pałacu „Narodowej galerii“, mieszczącej w sobie utwory sztuki malarskiej rozmaitych narodów, które bogata Anglia zakupowała, wydając na to sumy ogromne. Skrzydło dobudowane, któremu zrobiono miejsce przez zburzenie wznoszących się obok kamienie, jestto gmach trzypiętrowy, mieszczący trzynastą obszernych komnat, wszystko w stylu florenckiego renesansu a przeznaczony na galerję „Narodowych portretów.“ Część ich pewna jest własnością rodzin znakomitych, których przodkowie zasłużyli się narodowi angielskiemu w różnych kierunkach, na polach walk i u stopni tronu, tworząc arcydzieła sztuki i rozszerzając pojęcie szlachetnego postępu, a datują one od czasów panowania Henryka VIII, sięgając aż do panowania królowej Wiktoryi.

Zamiarem wzniesienia tej galerji jest stworzenie jakoby wielkiego obrazu historii przez portrety wybitnych osobistości, które historją tę tworzyły i pojęcia to tak ludzi, że jest tu zawsze pełno zwiedzających, bo artystyczna strona rzeczy łączy się z pamiętkami, które anglik każdy czei pobożnie. Bardzo też zainteresowano się tutaj uroczystością odsłonięcia mozaik, pokrywających ściany katedry Ś-go Pawła. Kościół ten wspaniałej architektury, nie był przecież odpowiednio bogatym w ozdoby te, które pociągając wzrok podnoszą nam i ducha w łonie, obecnie zaś jest to wrażenie przejmujące. Ukazanie się Jehowy Abrahamowi, wizja Jakuba i inne takie sceny biblijne porywają widza, oczekują też tutaj z gorącym zajęciem chwili, gdy całość przedstawi się wzrokowi. Malowidła na szkle wywierają będą niewątpliwie wrażenie niemałe, rozmaite też korporacje i gildye londyńskiej City dostarczają funduszy i można powiedzieć, że nowożytna Anglia mimo swojej praktycznej strony nie ustępuje w pragnieniu piękna tym czasom gdy mistrze włoscy zachwycali ludzi i bardzo szczęśliwie układają się te

rzeczy przez podział pracy, jak powiedzieć można i potęga Anglii wzrasta niejako z dniem każdym.

Dział się to przecież może tylko w kraju takim, którego cywilizacja przeniknęła stosunkowo klasy wszelkie i dla cudzoziemca jest to widok zadziwiający, gdy ujrzy tłumy pospółstwa z klas najniższych, ciszące się na wystawę sztuk pięknych, urządzoną co rok bezpłatnie w święta wielkanocne w szkole Ś-go Judy, a dodać należy że wystawa to nie byle jaka, bo królowa używa jej obrazów z własnej swej galerji, co nasładowa i rodziny zamożne, poczynając od najstarszej arystokracji. Wystawa zapełnia trzy duże i dwie pomniejsze sale a w ciągu jej trwania obowiązki dozorców pełnią panowie i panie ze sfer najwyższej arystokracji; braku oglądających nigdy tu nie bywa, co jest rzeczą cieszącą ludzi umiejących rozumieć wpływy cywilizacji, a w ciągu tego roku zwiedzało tę wystawę dziennie od trzech do czterech a nawet do pięciu tysięcy osób starszych i młodszych. Że lud angielski ma już rozbudzone poczucie piękna dowodzą fakta, gdyż widzieć można, że tłumy zbierające się tutaj z najniższych klas społeczeństwa nie bezmyślnie błądzą wśród jej sal wspaniałych, zatrzymując się przed dziełami sztuki nie dla zabicia czasu, czego dowodzi obchodzenie się tej publiczności w rozpatrywaniu się w przedmiotach wystawionych.

Nierzadko spotkać tu można obdartego chłopaka tak jak i obdartego starca, a że i sąd o pojęciu szlachetnego piękna wytworzył się w tych tłumach, dowiodło tego już niemylnie głosowanie, urządzone za pośrednictwem rozdanych przez zarząd kartek, na których każdy kto tu wszedł, obowiązany był wypisać tytuły trzech najwięcej uderzających go obrazów. Wynik tej próby wydał bardzo pożądane skutki. Obraz Murilla otrzymał dwadzieścia kilka tysięcy głosów, gdy impresyoniści nie pozyskali ich całego tysiąca; dowód to za tem, że tłumy te, pracujące ciężko na kawałek chleba, odczuwają przecież piękno wznioślejsze. Jest też to tryumfem cywilizacji nowoczesnej, że przenika masy i daje im poglądy uszlachetniające.

Literatura, umiejętnie śledząca potrzeby klas wszelkich, przykłada się do tego rozbudzenia umysłów a jednym z ważniejszych działaczy w tym kierunku jest młody pisarz, Gilbert Parker, którego powieści szlachetnie pomyslane i wykonane z talentem, oddziałują na masy, bo kreślone są gorąco i malowniczo. Ostatnia jego powieść „Tim Macovoy“ należy do arcydzieł w tym zakresie a przedmiotem jej jest poszukiwanie fortuny w koloniach przez młodego irlandczyka ze szlacheckiej rodziny zubożałej, który postanowił sobie nie wracać do kraju póki nie stanie się bogatym. Tęsknota do miejsc rodzinnych dręczy go boleśnie, on przecież zatłumia ją w sobie, aż naraz spotyka irlandzką zubożałą rodzinę, która przybyła tu za chlebem i tęskni podobnie jak i on, szczególnież zaś młode dziewczę, Marya Aniela. Spotkał ją raz pierwszy na wycieczce w lesie, który jej przypominał strony rodzinne, a gdy towarzysząc jej z powrotem począł rozmawiać, gdy oboje zarówno wypowiedzieli sobie żale swoje i tęsknoty, zawiązał się pomiędzy nimi węzeł sympatii, który stał się wkrótce miłością.

— Wróćmy na stare gniazdo nasze... zawołał raz młodzieniec — wróćmy i pracujmy na kawałek chleba, choćby w gorącym pocie czoła... a ona wzruszona silnie podała mu rękę i młoda para bierze wkrótce ślub, przebywa ocean i wraca na „stare gniazdo swoje“ a choć oboje pracują w pocie czoła, czują się szczęśliwi, bo oboje umieją przystosować się do położenia i dobrze im jest pod niską strzechą, dobrze im jest w szatach z samodziału.

Powieść ta gorąco uczuciowa i z zadaniem szlachetnem zyskała Parkerowi miejsce wybitne między powieściopisarzami angielskimi i spodziewają się znawcy, że talent jego rozwinie się podniośle, o czem donieść wam nie omieszkam.

Henryk.



# Nienawidzę.

NOWELLA.

Pan Stefan Borezynski zaczął się już niecierpliwić...

Znów spojrzął na zegarek: skazówki posuwały się wolno po ciemnym cyferblacie, obojętne na wszelki pośpiech i niecierpliwość.

Tik—tak, tik—tak...

Młody dziedzic Boreczyna schował zegarek do kieszonki, siadł na skórzanym szeszlunku i wzięwszy w rękę leżący opodał na stolicku wachlarz z liścia palmowego, zawzięcie chłodzić się począł.

— Cóż u dyabła! — myślał—wuj nie przyjechał, czy co?

— Od stacyi do Boreczyna cztery mile; o siódmej już powinien tu być! — Wątpię, aby wprost do siebie pojechał; mojemu koniowi walić bez pozwolenia ośm mil! — ruszył ramionami.

— Facecya! wuj na to za delikatny. Ale też upał dzisiaj arabski! — ufl! — nie wytrzymam!

Wstał i podszedł do otwartego okna.

Gorąco było jeszcze na dworze po upalnym dniu czerwca, ale od traw ścielących się na okrągłych klombach pod oknami wiejskiego dworku, od rzeczki płynącej opodał, od pól rozległych, co na pochyłości ciągnęły się widoczne dla oka, het aż pod sam las, — podnosić się zaczynało chłodniejsze nieco, ożywcze powietrze letniego wieczoru.

Pan Stefan usiadł na niskim parapecie okna i popatrzył w dal.

— Jak ten jego Boreczyn podniósł się w ostatnich latach! Nieboszczyk ojciec aniby go poznał... Las gęsty jak zagajnik, staw zarybiony — do dwóch tysięcy rubli przysparza rocznie gospodarstwu, a pola i łąki i bydło, no! to przedmiot zazdrości wszystkich sąsiadów na dziesięć mil wokoło!

— Ciekawa rzecz, jak się też wujowi udało z wełną? przywiezie tysiąc rubli, jak obiecywał, czy nie? Ten wuj to magnacki człowiek! — myślał w dalszym ciągu pan Stefan, o futrynę okna opierając jasną czuprynę. Odkąd wrócił z zagranicy, po której włóczył się jak cygan; odkąd tu w sąsiedztwie Boreczyna osiadł i do gospodarki się wziął: odtąd i Boreczyn jak na drożdżach podraść zaczął. Jakoś tak raz, dwa, trzy, za radą wuja poszło wszystko składnie! nie wiele nawet pieniędzy pożyczyl siostrzeńcowi, a już się wszystko zmieniło jak w kalejdoskopie...

— Bogiem a prawdą, to i nie mała zasługa jego samego; od trzech lat siedzi w swoim Boreczynie, jakby w ziemię wrósł: do Warszawy ani zajrzy, od ludzi stoni, nigdzie nie bywa, co najwyżej do miasteczka pojedzie na winta do proboszcza i na tem koniec.

Niby trochę głupie życie, — nawet dobrze głupie, ale — pal sześć! Boreczyn na tem korzysta. Niczego mu już teraz nie brak, najwyżej chyba pani domu, ale się bez niej tak pan Stefan, jak i jego wioska doskonale obejda!

— Ale!... zaraz!... pani domu!... — i pogardliwie ruszył ramionami.

W tej chwili z lasu na drogę, prościutko przez pola biegnącą, aż pod sam dworek Boreczyna, wjechała parokonna bryczka.

Daleko była ona jeszcze od oczów pana Stefana, ale on już ją dostrzegł, poznał swoje śliczne kasztany, czerwoną czapkę Pietrka i słomiany kapeluszek wuja.

Zeskoczył więc z okna i wybiegł do sieni, wołając:

— Agata! podawać kolację! pan już jedzie!

— Migiem! prose jelemoznego dziedzica! — ozwał się z za drzwi kuchennych silny bas Agaty.

Pan Stefan wszedł na ganek w chwili, gdy Pietrek, siarczyście trzasnąwszy z bata, przed dworek zajechał i kasztany na miejscu osadził.

— Jak się masz! Stefek! — słomianym kapeluszem wymachując w powietrzu, zawołał wuj. Pewnie piorunował za to opóźnienie! Ale, widzisz, na stacyi zobaczyłem Żabińską, niespodziewanie do domu z Warszawy przyjechała. Naturalnie koni

po nią z Żabina nie przysłali; babina była w kłopotcie, a że to od boreczyńskiej szosy do Żabina tylko trzy wiorsty w bok, więc jej twoje konie ofiarowałem!

Pan Andrzej Wyżyna recytował to wszystko, powoli schodząc z bryczki, oczyma tylko manewrował tak, aby ani razu nie spotkać wzroku siostrzeńca, który zbiegłszy ze schodów, pomagał wujowi wysiąść.

— Po pierwsze, mój wujaszku, nie piorunowałem, a po drugie bardzo wdzięczny jestem za tę wielką przysługę, oddaną mojemu koniowi pani Żabińskiej, bom jej i tak wiele dłużny za pomoc przy zeszłoročním pożarze stodoły!

Pan Stefan ucałował wuja w oba rumiane policzki, a potem zawołał:

— Pietrek! a nie poić tam kasztanów, bo zgrzanel!

Skoczył na schody ganku za wujem i pomógł mu zdjąć płócienny płaszcz i torbę skórzaną przewieszoną przez ramię.

— Cóż, wujaszku, wełna poszła?

— Ho, ho! ucieszysz się! Tysiąc dwieście dali!

— E!

— Dalibóg! Ogromne, powiadam ci, były ceny! niewiele jakoś zwięźli, a kupców — chmara!

Pan Stefan ucieczył się okrutnie, aż mu niebieskie oczy zabłyszczały i płowa czupryna zatrzęsała się nad czołem.

— Wujaszku! ja bo mam w wujaszku skarbi! I z domu nie wyjeżdżałem, i Warszawa mnie nie widziała, i wełna sprzedana wysmienicie!

— No, a cóż mi za to wszystko dasz? — pod boki się biorąc i filuternie na siostrzeńca patrząc, spytał pan Wyżyna.

— Najpierw, wujaszku, kolację jak od Stępkal a potem spanie wysmienite w moich kawalerskich betach!

— Idź, gałganie, z twojemi kawalerskiemi betami! mnie już moje własne obrzydły! Żebyś to choć miał żonę, — dalibóg weselej byłoby w naszych wioskach...

Pan Stefan się oburzył.

— Co też to wujaszku do głowy przychodził jeszcze czego! człowiek by ani chwili spokoju nie miał... — ruszył pogardliwie ramionami. — Bredniel Ot, wie wujaszek co zrobimy?

— No?

— Kiedyśmy wełnę tak doskonale sprzedali, kiedy i zbiory zapowiadają się nie najgorzej, to — machniemy się we wrześnie za granicę! Co?

Pan Andrzej odetchnął głęboko, jakby mu coś z pod serca nagle wyrosło, odsapnął i rzekł:

— Do Włoch! Stęku!

— Do Włoch — powtórzył siostrzeniec i chciał już do jadalnego pokoju biedz, kiedy go wuj zatrzymał, rozpostarł przed nim ramiona i zawołał głosem jakby zdyszany:

— Stęku! daj pyska!

Rzucili się sobie w objęcia i ucałowali.

Do przedpokoju wbiegł wiejski chłopak i krzyknął na całe gardło:

— Prose jelemoznych panów, kolacje już podałem!

Wuj i siostrzeniec przeszli do jadalni.

Na stole zastawionym wiejskimi przysmakami, dymiała się z półmiska baranina i młode kartofle.

Pan Stefan sięgnął do kredensu po wódkę, naład duży kieliszek pomarańczówki, wychylił go od razu i podał napełniony znów kieliszek wujowi.

— Na pomysłość naszej podróży! — zawołał.

— Na pomysłość!

Zasiedli obaj do stołu.

— A zatem, Stęku, we wrześnie jazda! co? — kładąc na talerz ogromny kawał baraniny — zawołał z niekłamana radością w głosie pan Wyżyna.

— Naturalnie, należy nam się to słusznie.

— Racya, racya. Człowiek, to tak jak ziemia, co kilka lat musi wypocząć, potrzeba mu choć paru tygodni ugoru, aby znów mógł bujne plony wydawać! My lat cztery pracowaliśmy jak woły w jarzmie; twój Boreczyn podróść, moje Marchwice wzorowe, naco nas stać było, tośmy robili! teraz w zapłatę rękę można wyciągnąć!

— Ho, ho! wujaszek słuszność takiej zapłaty dowiodłby zawsze.

— A nie inaczej, to mój nawet obowiązek świat poznać! I ja ci powiadam, chłopcze, niechby ludzie na wszystkim oszczędzali, byle im na naj-

mniejszą, choćby najskromniejszą wystarczyło podróż; byle mniej na siebie, a więcej na świat w około patrzyli, — to, jak Boga Kocham, lepiejby się na ziemi działo: i ludzie szczęśliwsiby byli — i weselsi i, co najważniejsze — rozumniejsi, ot, co!

Pan Stefan zaczął się śmiać.

— Wujaszek po swojemu się zapala, a ja mówię, że na tysiąc — jeden może wyjechać za granicę.

— Gadanie! A cóż to ja nie widziałem w Warszawie przez tydzień na naszej wełnie siedząc, jak to ludziska żyją w lecie? Aleje Ujazdowskie, wyścigi z jakimś tam totalizatorem czy dyablem i wenda! i tak dzień w dzień! — A niechby przez dwa lata odkładali to, co na tej werendzie wydają, zaoszczędzali butów, co zdzierają w tym ujazdowskim zaduchu i do tego niechby dodali pieniądze na wyścigi przeznaczone, jak Boga Kocham, takby każdemu na podróż do Honolulu nawet wystarczyło!

Pan Stefan nie już nie odpowiedział; znał słabą stronę wuja: na punkcie podróży stał się nieomal maniakiem. Całą młodość po świecie przebujał, każdy zakątek ziemi znał. Od czterech lat dopiero osiadł w rodzinnej wiosce, która po śmierci brata jego stała się własnością. Pracował górnikiem i co prawda mądrze, stwierdzając tem słuszność swoich dowodzeń, że człowiek na szerokim świecie wszystkiego nauczyć się najlepiej.

Długą chwilę panowało milczenie; i wuj i siostrzeniec głodni byli, jedli więc, nie przerywając sobie rozmowę. Dopiero kiedy improwizowany z wiejskiego chłopaka lokajczyk sprzątnął półmiski i przyniósł herbatę; pan Stefan, podając wujowi cygara, zapytał:

— No i jakże wujaszek spędził czas w Warszawie?

— At, zwyczajnie: rano ujadłem się z kupcami, potem włóczyłem się po mieście, a wieczorem najczęściej do teatru chodziłem.

Pan Andrzej Wyżyna rozparł się wygodnie w krzesło, ramię przerzucił za poręcz, cygareto pociągnął raz i drugi i najobojętniejszym na pozór głosem powiedział:

— Ale, wiesz, widziałem któregoś wieczoru w teatrze twoją ex-narzeczoną.

— He! — z radosnem zadziwieniem zawołał pan Stefan.

— Aha!

— Że to ona w Warszawie jeszcze! Jakże wygląda?

— Nie się nie zmieniła — puszczał gęsty kłęb dymu, odparł wujaszek.

— Ona była taka śliczna!

— Nie się nie zmieniła — powtórzył pan Andrzej.

— Trzy lata! kawał czasu! a to, podobno, niezbyt miły towarzysz dla panien! Nie schudła? nie utyla?

— Nie, jakby czas po niej nie przeszedł!

— A ona wuja widziała? W którym to było teatrze?

— Widzisz, to było w Wielkim, dawali Rycerskość wieśniaczą, nie było biletu do krzesel, więc wziąłem sobie kupon do łoży parterowej, a ona z matką siedziała w krzesłach, zaraz na brzegu, tak, że jej twarzyczkę miałem wprost przed oczami, jak ciebie teraz!

— Widziała wuja?

— Nie. Tak była zapatrzona i zasłuchana w to wszystko, co się na scenie działo, że i w stronę mojej łoży nie spojrzała nawet.

— Tak, tak... ona ogromnie lubiła teatr. Siadała sobie wygodnie w krzesło, nóżkę na nóżkę założyła, paluszki spletała, na kolanach oparła i patrzyła, patrzyła, patrzyła...

— Tak, onegdaj tak samo! A że ja znów najlepiej lubię tyłem do sceny się odwrócić i słuchać, nie widząc tych pomalowanych twarzy śpiewaczek, więc patrzyłem sobie na Hele, śledząc wrażenia, jakie na niej śpiew robił...

— Ach! z jej rysów nie trudno wyczytać uczucie! — przerwał wujowi pan Stefan — ma takie wymowne, ogromne oczy, usteczka tak jej drżą, kiedy się wzruszy!

— Otóż to, otóż to! Powiadam ci, kiedy San-tuza zaczęła te swoje lamente wywodzić, wiesz...?

— Wiem, wiem, z Alfim!

— Tak, właśnie, to Heli tak się jakoś oczy zamgliły, że, byłbym przysięgł, łzami zaszczyły, twarzycz-



ka się zarumieniła, nawet te paluszki na kolanach splecione... zdrząły...

Pan Stefan krząknął.

— To bardzo wzruszająca arya.

— A Dąbrowska ją śpiewa, jak Boga kocham, wspaniale!

— Więc Hela doprawdy tak się nie nie zmieniała? — płowe wasy niecierpliwym ruchem muskając, pytał znów pan Borezyński.

— Otóż to, widzisz, ona się niby nie zmieniła, a zmieniła! Na buzi wcale, a tylko trochę wyrazem oczu, ust... bo ja wiem, jak ci to powiedzieć! — trochę jakby posmutniała.

Pan Stefan znów krząknął.

— To pewnie śpiew ją tak wzruszył; ona była zawsze bardzo wrażliwa!

— Ja też tak sądziłem z początku, ale kiedy po operze przyszła kolej na Zabawę dziecięcą, wcale dobry sobie balecik, bębny pięcio, sześciolatek tańczą, powiadam ci jak dorosli, z taką gracyą, z taką precyzyą, że jak Boga kocham, nie do uwierzenia, szczególniej tam mała Jezierska, czy tam jakoś inaczey się nazywa...

— To co wtedy Hela? — znów przerwał wujowi siostrzeniec.

Pan Wyżyna popatrzył chwilę na młodego człowieka, pociągnął cygaro i, uśmiechając się żartobliwie, powiedział:

— Ale cóż ciebie ta Hela tak obchodzi?

Pan Stefan w pierwszej chwili się zająknął, ale nabrał zaraz rezonu i odparł, ruszając ramionami:

— Mój wujaszku, jak się z kimś całą resztę życia spędzić miało, to i co dziwnego, że ten ktoś, choć już potem żyje zdala, trochę obchodzi!

— Ano prawda! A ja myślałem, że ty tak może jeszcze troszeczkę... tego...

Pan Stefan gwałtownie szarpnął wasy, poprawił się na krześle, ale już nie nie odpowiedział.

— I o co wam właściwie poszło? bo o ile pamiętam, wyście się ogromnie ku sobie mieli! — spytał pan Andrzej, otrzepując popiół z cygara.

— O co! o co!... naturalnie, że o ważną rzecz poszło!... — wstając z krzesła odrzucił młody człowiek.

Przez chwilę chodził po pokoju, a potem stanął przed wujem i powiedział:

— Ja byłem o nią okropnie zazdrosny, a ona tę zazdrość jakby jeszcze podniecać się starała!... Toć człowiek młody! ma krew!...

Cztery miesiące na ślub czekać trzeba było i widzieć, w dodatku, jak się roją wkoło niej te gawrony, co to rade, że ich nikt już o matrymonię nie posądzi, więc korzystają z towarzystwa ślicznej dziewczyny, od której stronili, kiedy była wolna!... Jeszcze byłoby pół biedy, gdyby ona ich zdaleka od siebie trzymała i na te jawne uwielbienia nie pozwalała; ale ją to bawiło! W dodatku ułożyła sobie w głowie, że mężczyzna im więcej zazdrosny, tem bardziej kocha... W końcu nie mogłem już wytrzymać! Pewnego wieczoru, na zebraniu u jej matki, jak się przyczepiła do Władka, tak ani weź! ni z nią pogadać, ni doprosić się, aby śpiewała; wlepiła te swoje ogromne oczy w jego głupią twarz i śmiała się z płaskich jego konceptów, taka rada, jakby ją największe szczęście spotkało! Tego było już za wiele; już na prawdę nie mogłem wytrzymać!... Wziąłem ją za rękę, szepnąłem, że coś ważnego mam jej do powiedzenia i wyprowadziłem do drugiego pokoju. A tu ona do mnie: „No, mów prędko, bo mi pilno do przerwanej rozmowy wrócić!...”

Taka mnie wtedy wściekłość ogarnęła, tak się już wszelka cierpliwość wyczerpała, że mi się uniósł okropnie! Nagadałem głupstw, że jest bezmyślną kokietką, że się mizdrzy do każdego i że ją znienawidziłem!...

Przy tych słowach pan Stefan tak się rozczzerwienił, tak iskrami gniewu sypnęły mu źrenice, jakby na samo wspomnienie ubiegłej chwili, znów go owa wściekłość ogarniała.

— Stefkul! ja nie wiedziałem, żeś ty taki gwałtowny! — zawołał pan Wyżyna, śmiejąc się z siostrzeńca. — Widzę, że ci od tych trzech lat krew nie ostygła! — No a cóż ona wtedy zrobiła?

— Ona? zbladła straszliwie, pierścionek z palca zdjęła, na marmurowym blacie stoliczka przedemną położyła i, chwyciwszy się oburącz za głowę, uciekła z pokoju... Mnie po tem wszystkiem jeszcze

bardziej w głowie zaszumiało, zerwałem i ja mój pierścionek z palca, cisnąłem go na ziemię i poleciałem prosto na kolejl!

Pan Andrzej wstał z krzesła, zbliżył się do siostrzeńca i rzekł:

— No, to ja ci powiem, że na szerokim świecie dużo takich ważnych przyczyn widziałem, które życia łamały!

Pan Stefan z pod ściągniętych brwi patrzył w otwarte okno, ale, zdaje się, że nie poza niem nie widział.

A wuj tymczasem wyciągnął się na skórzanym szezlongu, wałek perską materyą powleczonej pod głowę sobie podłożył i patrzył na podłużne kółka dymu, które ustami puszczał. Od czasu do czasu tylko zerkał w stronę siostrzeńca, uporeczywie w okno wpatrzono.

— Ale posmutniała Hela, bardzo posmutniała! — zaczął jakby do siebie. Kiedy to się zaroilo od tych dzieciaków na scenie, to aż paluszkami matce niektóre pokazywała, uśmiechała się na ich widok, ale, dalibóg, ogromnie smutno, jakby żałośnie. A kiedy się jedno bobo przewróciło, to aż krzyknęła!

— Ona bardzo dzieci lubiła — półgłosem odezwał się pan Stefan.

— Zdaje się, że w tem lubieniu nie bardzo różniły się od ciebie!

— Ja bo tam tylko dziewczynki małe lubię, chłopaków wcale!

— No, ale na jednego synka przecieżbyś się zgodził?

Pan Stefan ruszył niecierpliwie ramionami.

— Głupstwa wuj gada i konieci!

— A może być, bo to, widzisz, kiedym śpiący, to mi się nie klei rozmawiać!

— Agata pewnie już poszła, jedenasta, możemy iść spać.

— Ano dobrze.

Pan Wyżyna wstał z szezlonga i przeciągnął się.

— Ale, słuchaj no, Stefek! ty nie bywasz u Żabińskiej?

— Nie.

— Szkoda, to miła kobiecina, a zna się na malarstwie, jak Kopernik na astronomii!

— Ba! przy takim sławnym malarzu, jakim był jej mąż, toby się każda żona na mała stwie znała.

— No i pół życia we Włoszech spędziła! Ale dla czego ty tam nie bywasz? takie blizkie sąsiedztwo.

— Alboż to dla mnie towarzystwo u pani Żabińskiej?! niech się dwie osoby zejda, a ona trzecia, to już i dwustu lat sięgają!

— Prawda, prawda, tam za starzy dla ciebie ludzie bywają. Ale ja, widzisz, mój drogi, pojechałbym tam jutro; niedziela, człowiek swobodny.

— W takim razie niech wujaszek nie wraca do Marchwie, bo ztamtąd przeszło pięć mil do Żabina, tylko niech wujaszek prosto ztąd moimi końmi pojedzie z wizytą.

— Owszem, dziękuję ci — odpowiedział wujaszek i wszedł do sypialnego pokoju. — A ty co będziesz robił jutro?

— Albo ja wiem! — zapalając świecę, odparł pan Stefan, — może będę siedział w domu, a może do miasteczka pojedę na Bakierze.

— No, to jedź sobie zdrów, a ja przez ten czas pogadam sobie o malarstwie z Żabiną albo pośmieję się z Helą.

— Co?! — zawołał, odwracając się żywo, pan Stefan.

— Ano nie, z Helą się pobawię w Żabinie. Prawda, zapomniałem ci powiedzieć, że to i ona z Żabińską przyjechała.

Pan Wyżyna zamilkł, bo zsuwał właśnie but z nogi, ale kiedy długa cholewa z łatwością już pociągnąć się dała, znów zaczął mówić:

— Podobno poznała ją Żabińska gdzieś u wód w zeszłym roku, polubiła dziewczętko, no i wyprosiła u matki, aby ją zabrać jej pozwoliła.

Tu stary wujaszek ziewnął przeciągle i położył się w łóżko.

— No, dobranoc ci, Stefkul. — Co to, wychodzisz gdzie?

— Jeszcze weźnie, nie chce mi się spać, pochodzę trochę po ogrodzie, taka widna noc! Dobranoc wujaszku!

— Ano dobranoc, dobranoc!

Siostrzeniec wyszedł, a wuj, zaciągając koldrę pod samą brodę, zamruczał.

— Oj, wiem ci ja, jak to młodych głupstwa reperować, wiem, nie darmo włóczyłem się po szerokim świecie!

Było już dobrze po północy, kiedy drzwi cicho skrzypnęły, i do sypialni wsunął się pan Stefan.

— Cóż udała się promenada po księżycu?

— Wujaszek nie śpi?

— Jakoś mi w twoich kawalerskich betach nie tego idzie!

Pan Stefan zapalił świecę, postawił ją na szafeczce nocnej i usiadł obok wuja na łóżku.

— Wie wujaszek co ja myślę?

— No?

— Możeby tak wypadało złożyć wizytę pani Żabińskiej? zawsze to sąsiedzki obowiązek!

— A pewno.

— Tembardziej, że wiele jestem jej obowiązany za pomoc przy pożarze zeszłorocznym.

— Kiedy ci się stodoła paliła?

— Właśnie. Ona miała wtedy zwózkę siana, deszcz groził, a mimo to przysłała mi wszystkie swoje fornalki do wożenia wody!

— I cóż ty — nie podziękował jej za to? zaraz znać, że nie był przy tobie!

— Ależ owszem, byłem u niej na drugi dzień, tyłkom jej nie zastał, i na tem się skończyło.

— Więc kiedyżbyś się tam wybrał? na przyszłą niedzielę?

— E nie, może jutro — odpowiedział pan Stefan, poprawiając sobie coś przy wysokiej cholewie buta.

— I owszem, i owszem, jedźmy razem! — z lekkim uśmiechem na ustach odparł wujaszek. — W takim razie, radzę ci, kładź się zaraz spać, abys jutro ładnie wyglądał, bo Żabina lubi pięknych mężczyzn! Ej Stefkul! coś mi nie bardzo pewna ta nasza podróż do Włoch!... — grożąc palcem z pod kołdry wyjętym, dodał pan Wyżyna.

— Kiedy wujaszek, to Bóg wie co zaraz myśli!

— Ale uchowaj Boże, uchowaj Boże! No, dobranoc ci, pewnie będziesz snił o... Bakierze!

Przy tych słowach wujaszek odwrócił się do ściany, siostrzeniec zgasił świecę i cisza zapanowała w sypialni.

\*

\*

\*

— A to pani zna? Giulia-Denza! ślicznie!

Panna Hela siedziała przy fortepianie i przerzucała rozłożone na pulpicie nuty. Cały ich stos z Warszawy przywieziony trzymała na kolanach pani Żabińska, zagłębiona w fotelu tuż obok swego gościa.

— Co, duszyczko? — zapytała, — Giulia-Denza? zdaje mi się, że znam! zagraj parę taktów!...

Panna Hela uderzyła w klawisze, nucąc półgłosem melodyę piosenki.

— Znam, znam, znam! ładne, tylko smutne.

— Pani takich nie lubi? A ja od jakiegoś czasu — bardzo! — powiedziała panienska, zwracając śliczne piwne oczy na panią Żabińską.

— Nie lubię, nie lubię! A to? — podając gościowi swojemu inne jakieś nuty, spytała starszka.

Panna Hela przechyliła ciemną główkę i spojrzała na tytuł.

— To? Mój kwiatek — Troschla. Wesołe! Zapiewać?

— Proszę, proszę!

Panna Hela pełnym, dźwięcznym sopranem śpiewać zaczęła, białe paluszki uwijały się po klawiszach, ciemne loczki nad czołem drżały, kolorki żywe wystąpiły jej na policzki, a piosenka płynęła, płynęła z otwartych okien żabińskiego salonu w ogród, z ogrodu na pola, het aż ku drodze, po której turkotał amerykański parą pięknych kasztanów zaprzężony.

„Jabym ciebie za ten cały wielki nie dał świat!” — zakończyła panienska ostatnią strofkę piosenki.

— Ślicznie! aniołeczku, ślicznie! — z zachwytem zawołała pani Żabińska.

Wzięła w obie dłonie główkę Heli i ucałowała serdecznie jej różową twarzyczkę.

— Ot! niema jak młodość! aż mnie starej, zdaje się, lat ubyło. Byle ci się tylko, duszyczko, nie nudziło tu u mnie! do starej mało kto przyjeżdża.



— Ach! pani, mnie tu tak dojrzał ja wieś bardzo lubię!

— Po podwieczorku pójdziemy sobie na spacer!  
— I opowie mi pani o tych podróżach swoich! dojrzał? — wstając od fortepianu, zawołała panna Hela.

Podeszła do stołu, na którym w wazoniku stały róże i nachyliwszy się, powąchała bukietek.

— Przypnij je sobie do staniczka; na twojej białej sukience ponsowe różyczki ślicznie wyglądają będą!

— A nie pomyśli pani, że kokietka?

— Oż znowu! zresztą każda kobieta choć trochę kokieteryi mieć powinna, bo inaczej wygląda jak niedokończony obraz!

W tej chwili zaturkotało na dziedzińcu; przed dworek zajechał amerykan.

— Co to? Goście jadą! — zrywając się z fotelu, krzyknęła radośnie pani Żabińska.

Hela spuszczonej miała właśnie główkę, bo zakładała róże za morowy pasek białej sukienki, gdy ją podniosła, już pani Żabińska stała we drzwiach ganku, zasłaniając oczom paniemki przybyłych.

— Witam kochanych sąsiadów bardzo serdecznie, bardzo serdecznie! — wołała staruszka, dygając raz po raz.

Pan Andrzej Wyżyna pierwszy wskoczył z młodzieńczą gracyą na ganek, pocałował w rękę panią domu i rzekł:

— Pani dobrodziejko, co słusne, to słusne; ja po przyjeździe zkadkolwiek zawsze do Żabina najpierw z wizytą jadę! Nie wiem tylko po co ten dzikus ze mną tu przyjechał! jak Boga kocham, tak go nie namawiałem!

Pan Stefan, trzymając popielaty kapelusik w ręku, zbliżył się z powitaniem. Serdecznie uściśnięła go pani Żabińska.

— Dawnom ja szanownego pana pod dachem swoim nie miała, to też dziękuję bardzo, bardzo dziękuję za przybycie! Helu! — ciągnęła dalej pani domu, zwracając się do stojącej we drzwiach salonu paniemki. — Pan Stefan Borezyński, mój najbliższy sąsiad ale najrzadszy gość!

Panna Helena wyciągnęła do przybyłego rączkę, zacerwieniła się ogromnie i chciała coś powiedzieć; pan Stefan podaną sobie dłoń ujął, także się zacerwienił, także chciał coś powiedzieć i — również zamilkł.

— Proszę szanownych gości do salonu! — rzekła pani Żabińska i wprowadziła przybyłych do pokoju. Usiadła na kanapie, okok niej pan Wyżyna, a młodzi zdala od siebie na taboretach.

— Panie Borezyński, przepraszam bardzo za wczorajsze nadużycie pańskich koni, — zaczęła gospodyni — ale pan Wyżyna...

— Ach! pani dobrodziejko! — przerwał jej młody człowiek, — niewypowiedziane wdzięczny jestem wujowi, że taką drobnostką pozwolił mi przysłużyć się paniom!

— Prześliczne pańskie kasztanki! ale à propos malowania, — do pana Wyżyny, zwróciwszy się, żywo powiedziała właścicielka Żabina, — nowy obraz przywiozłam sobie z Warszawy! może sąsiad obejrzy?...

— Pewnie jakieś *curiosum*! bo to pani dobrodziejka zna się na obrazach, jak sam Rafaell!

Pani Żabińska uśmiechnęła się z zadowoleniem, bo wielce była czuła na tego rodzaju komplementy.

— O, tu nad fortepianem powiesiłam!

Oboje starzy wstali z kanapy i podeszli do obrazu. Hela tymczasem, schyliwszy główkę, bawiła się listkami róży.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## TROCHE MORZA.

(Z dziennika podróży Piotra Rosegger'a).

...Od czasu do czasu napada mnie szalone pragnienie wody morskiej. Abbazyą, Tryest radzi mi ten i ów, tam przecie dosyć mokro; mnie jednak

tam jeszcze za sucho, za dużo mi tam jeszcze z wody gór wystaje, a ja chciałbym widzieć i góry i wody, ale całkiem osobno; góra niech będzie tylko górą, a woda tylko wodą. Szukam więc w myśli jakiego miasta austriackiego, z którego bym miał widok na otwarte morze. W Istrii jest taki mały kawałek lądu, wrzynający się ostro w morze Adryatyckie, otoczony z trzech stron wodą. A może w dodatku jest tam jaka „monte maggiore“, z której, podniósłszy się na palcach i wyciągnąwszy do brzo szyć można zobaczyć nawet morze Śródziemne? Tam leży Pola. A więc do Poli, płyn duszo spragniona!

Gdy wyjeżdżał z Gracu, deszcz lał jak z cebra, po drodze widziałem Murę, Drawę, Sawę — lecz krople te zwiększyły jeszcze moje pragnienie. Pewnego razu było mi w gardle tak sucho, że postanowiłem — było to właśnie w Divazza — przepłukać je winem. Przedtem jednak miałem na dworcu tamtejszym małą przystoję. Było to wieczorem, dworzec ożywiony, a ja śpiesząc się i zdenerwowany jak zawsze. Gdy, przeciskając się przez tłum, dostałem się w końcu do okienka kasy, by kupić bilet do Poli, znalazłem się w tem nieprzyjemnym (jeżeli kto chce, niech będzie przyjemnym) położeniu, że musiał zmienić banknot 50 guldenowy. Urzędnik wydał mi 25 guldenów papierami, resztę srebrem. Wpychałem i wypychałem srebrniki do woreczka i pierwszy raz w życiu okazało się, że był za mały.

Kilka srebrnych guldenów musiałem schować w kieszeń, poczem udałem się szybko do gospody, ażeby jeszcze przed odejściem pociągu ugasić pragnienie. Zaledwie usiadł i zaczął się rozkoszować szklaneczką *ostrany*, gdy wtem wehodzi portyer kolejowy, rozgląda się po wszystkich stołach i podchodzi do końca ku mnie zapytuje, czy to ja kupiłem bilet do Poli. Nie widząc nic w tem ubliżającego, przyznaję się, że kupiłem rzeczywiście.

— W takim razie zechcesz pan udać się zaraz na dworzec i zabrać zapomniane w kasie pieniądze.

— Ja żadnych pieniędzy w kasie nie zapomniłem, — odrzekłem, czułem bowiem pieniądze w kieszeni.

Ale prawda! Papierowe!... Tych nie miałem w pugilaresie. Biegłem więc czempredzej do kasy i otrzymuję z rąk urzędnika pięć banknotów pięćguldenowych i cztery srebrne guldeny.

— Przepraszam, — mówię, — te srebrne guldeny nie należą do mnie.

— Należą do pana.

— Przepraszam, ale ja zapomniłem tylko 25 guldenów w papierkach.

— Zechciej pan wziąć swoje pieniądze i dać mi święty spokój, — odpowiedział urzędnik zniecierpliwiony już nieco. — Nie mam przecie czasu dłużej się panem zajmować.

Sprzeczailiśmy się tak dobrą chwilę, w końcu jednak uległem i schowałem pieniądze, które — jak się po przerachowaniu okazało — były rzeczywiście moją prawą własnością. I wtedy to pomyślałem sobie: Mój ty Boże! jeżeli już kłótnie na świecie mają być konieczne, to niechby przynajmniej były takie, jak nasza.

Przygoda ta wprawiła mnie w wymieniony humor; i niech mi wolno będzie na tej, dziś już dość zwykłej drodze, przesłać serdeczny uścisk dłoni kasyerowi w Divazza.

Droga szła dalej na południe. Wspaniałe i zarazem smutne wrażenie sprawia to morze kamieni.

Są tu wyniosłości, których nie można nazwać górami, są to bowiem tylko nieregularne wyżyny; są znowu kotliny, których nie można nazwać dolinami, bo nie mają ani wyjścia ani łożyska. Chwilami zdaje się, że pociąg pędzi wśród Alp, a wiatr, uderzając ze świstem w okna, łudząco naśladuje burzę w Alpach. Miasteczka zbudowane tu na stromych skałach, jak zamki warowne, a cudzoziemiec nie może nawet zdać sobie sprawy, z czego mieszkańcy tutejsi żyją. Ich ogrody, pola i łąki leżą przeważnie w kamienistych kotlinach i w mniejszych zagłębieniach otoczonych murami, które je choć w części chronią przed wiatrem. Sucho tu wszędzie, ni deszczu, ni rosy, ni śniegu. A jeżeli nawet czasem nieba zeszną nieco wilgoci, to wysuszy ją natychmiast wiatr, albo też wciągną kamienie.

Całe pole pełne dołów, i przepaści, w których wnętrzu z pewnością więcej żywych istot się kryje, niż na powierzchni. Smutne i skarłowaciałe dęby są jedynymi tu rosnącymi drzewami. Pokryte w zimie suchym, czerwonym liściem, nie tracą go jak gdzie indziej w jesieni, lecz na wiosnę. Mieszkańcy tych pustyń kamiennych trudnią się przeważnie pasterstwem. Ubodzy, bez żadnych wymagań i wykształcenia mają wszelkie warunki do owego idyllicznego szczęścia, tak chętnie przez poetów opiewanego.

Przeprowadzenie drogi żelaznej zamąciło nieco ich spokój, pokazując im świat i bogactwo, nie im w zamian nie dając. W dole w głębokich przepaściach widać małe budynki z kominami fabrycznymi; to zbiorniki wody dla kolei żelaznej, która idzie górą. Z jakimiż kłopotami i trudami połączone jest tu dostarczenie tego niezbędnego dla parowozów środka. Jedziesz sobie wygodnie w wagonie i rezonujesz za łada najdrobniejszą przykrością, nie myśląc wcale o tem, jakich cudów niemal trzeba dokonywać, ażeby egzystencję drogi żelaznej dzień po dniu u nieublaganej przyrody wywalcząć. — A gdyby przyszło pustynię tę pieszo przebywać!

Późno wieczorem stanąłem w Poli, gdzie na dworcu oczekiwało mnie grono przyjaciół, gotowych pobyt mój tu uczynić najprzyjemniejszym. Nie mam wcale zamiaru opisywać miasta, nie powiem więc że ma 30,000 mieszkańców, że posiada arsenał, pomniki, starożytną arenę i t. d. Tyle tylko powiem, że nazajutrz dużo czasu stracił, szukając morza — owego morza, które na trzy strony ztąd się rozciąga. Widziałem wprawdzie coś naksztalt jeziora, otoczonego niebieskawymi wzgórzami i byłbym to wziął rzeczywiście za zwyczajne jezioro, gdyby nie wielkie na niem okręty. Ale woda była słona, jest więc nadzieja, że i morze gdzieś niedaleko. To co tu ludzkość wybudowała dla własnej obrony, wszystkie te wspaniałe fortyfikacje i ciągłe w nich ćwiczenia nie nęciły mnie. Na tego rodzaju rzeczy jestem prostak, — chciałem widzieć morze. W najętej łódce, płynąłem ku pełnemu morzu wśród fortów najeżonych po obu brzegach działami i grożących mi biednemu bezbronnemu poecie i członkowi ligi pokoju. Lekki wietrzyk wschodni sprzyjał wycieczce. Przewoźnik mój jednak zatrzymał się wkrótce i oświadczył, że dalej nie popłynie z obawy, by wzmagaający się coraz bardziej wiatr nie przeszkodził nam w powrocie. Wróciłem więc rad nie rad do portu, nie oglądając morza.

Lepiej daleko udało mi się, gdy się dnia następnego w towarzystwie przyjaciół wybrałem powozem w kierunku wzgórze Marja Luigia. Tuż przed nami rozlewało się w dal niezmierną — morze. Ludzkość całą z wrogimi jej instynktami zostawiłszy za sobą, przed nami rozpościerało się w świetle słonecznym wiekiste morze. Dokoła nas skały, pokryte wawrzynami i mirtem — wspaniały widok.

Tak było tu za czasów Homera, tak jest i dzisiaj. Na wszystkim na ziemi wycisnął człowiek piętno swej potęgi, swego rozumu; zmienił całe szmaty ziemi do niepoznania. Morzu jednemu nie dotąd zrobić nie mógł; w wiecznym ruchu i w wiecznym równie spokojnie oddycha ono raz cicho, to znowu głośno unosząc spokojnie łupiny, które człowiekowi podobają się nazwać okrętami. I teraz w dali widzieliśmy taki punkcik. Z kilku z nich wznosił się gęsty dym, a uszu naszych dochodził przytłumiony odgłos strzałów armatnich.

Cała Europa śpi snem spokojnym, a zewsząd rozlega się strzelanie. Strzelanie i zbrojenie — i państwa zmieniły się w obozowiska wojenne. Dziwne doprawdy czasy, w których pokój wygląda jak wojna, tyle pieniędzy kosztuje i siłą!

Ale dosyć!... Czyż przyjechałem tu poto, ażeby się podobnie myślać zajmować? Napoiwszy się do syta widokiem ciemno-błękitnego morza, udaliśmy się z powrotem do Poli.

Z pośród włoskich postaci ulicznych wyróżniają się tu dodatnio marynarze, przeważnie Niemcy. Jeden z oficerów ofiarował mi się z chęcią oprowadzenia mnie wieczorem po mieście. Podziękowałem mu, lubię bowiem w obcym mieście waleśać się bez żadnego z góry ułożonego planu, zdając się jedynie na los szczęścia. Wkrótce jednak żałowałem mego postanowienia. Łażąc tu i owdzie zaszedłem na zamek, aby ztąd przyjąć się zachodowi słońca, które zanurzało się właśnie w tem miejscu, w któ-



rem przystań stykała się z morzem. Przed zamkiem na placu stało kilku żołnierzy żartując i rozmawiając wesoło ze sobą.

Jeden z nich zbliżył się do mnie i oświadczył mi łamaną niemiezczyzną, że tu koło fortecy nie mam nic do roboty. Opoadał na trawniku zabawiała się gromadka uliczników, wywracających kozły, pomyślałem więc sobie, że zakazu tego nie należy brać znowu tak bardzo dosłownie, zwłaszcza że i żołnierze byli bez broni i warty nie było żadnej. Odpowiedziałem więc, że chciałbym się trochę przyjrzeć zachodzącemu słońcu, na co otrzymałem stanowczy rozkaz, bym się zabierał. Nie dałem jednak i teraz jeszcze za wygraną. Myślę sobie: jeśli nie będę gdzieindziej patrzył, tylko na morze, to przekonają się, że nie mam żadnych złych zamiarów względem fortecy i dadzą mi spokój. Nie ruszam się więc z miejsca i stoję z wzrokiem w dalekie morze wlepionym. Aliści zbliża się ku mnie drugi żołnierz i już z daleka woła:

— Mój panie, tu żadnemu cywilowi niewolno.

— Pozwól pan, jeszcze tylko chwileczkę, już zachodzi. Taki widok nie co dzień się trafia, a pan pewno nie wiesz, że ja szalenie lubię patrzeć na zachód słońca.

— Tu niema żadnego zachodu słońca, odpowiada mi głosem stanowczym, nie pozostawiającym żadnej wątpliwości.

A jednak słońce zaszło. W całym majestacie zanurzało się zwolna w morzu, pozostawiając w końcu tylko rąbek ognisty, jakby płomień palącego się okrętu. Gdy w końcu i ten zagasł, obróciłem się szybko, aby wrócić, z kądem przyszedłem. Pierwszy żołnierz zastąpił mi jednak drogę i wskazał mi boczną ścieżkę w wschodniej części wzgórza. Niech i tak będzie, pomyślałem sobie, ścieżka ta zaprowadzi mnie do tej części miasta, której jeszcze nie znam. Niestety jednak nie zaprowadziła mnie tam. Ginęła wśród ogrodów otoczonych murami i drucianym płotem. Bezradnie rzucałem się to w tę to w ową stronę, ale napróżno: wyjścia znaleźć nie mogłem. Zmrok zapadał, a ja miałem tego wieczora odczyt publiczny. Zbliżała się oznaczona godzina, a tu ani rusz wydstać się. Wracam pędem ku fortecy; zaledwie mnie jednak żołnierz zoczył, zaczął biedz ku mnie z pięściami groźnie w górę wzniesionymi, a miał tym razem nawet karabin. Nie czując się na siłach, bym mógł sprostać austriackiej sile zbrojnej, ratowałem się ucieczką i znalazłem się znowu w ogrodzie otoczonym płotem drucianym, który się spletał i trzymał mnie teraz w uwięzi. Kilku uliczników przebiegało przez ogród i śmiali się ze mnie porządnie. W końcu jeden z nich zlitował się nademną i oświadczył, że mnie uwolni. Udało mu się rozsunąć druty do tyła, ztem mógł się przecisnąć. Podziękowałem mu skromnym datkiem, znalazł się też zaraz i drugi, który mi zrobił propozycję, ażebym jeszcze raz powtórzył tę samą historję, a on mnie uwolni. Przyrzekłem mu, że zrobię to, gdy drugi raz przyjadę do Poli. Przebiegłszy ogród wydstałem się w końcu przez mieszkanie jakiejś spożywającej wiecezrę rodziny mieszczkańskiej na właściwą ulicę.

Przybyłem jeszcze w samą porę na odczyt. Po skończeniu, przedstawiłem jednemu z radnych miasta projekt umieszczenia u stóp wzgórza, na którym wznosi się zamek, tablicy z napisem: „Zachód słońca jest tu surowo wzbroniony!“ Uśmieł się on porządnie z mojej propozycyi, jak również i oficerowie, którym ją opowiadałem. Zdaniem ich uniknąłbym był całego tego zajścia, gdybym był się zwrócił wprost do komendanta twierdzy, że jednak z drugiej strony łoży się na budowę fortecy tyle kosztów nie w tym celu, ażeby one mogły służyć do obserwowania zachodu słońca, nie dziwnego że wzbraniają tam chodzić.

Wieczór ten przepędziliśmy bardzo wesoło. Ludzie tamtejsi podobają mi się. Niema jednak w tem mieście morskiem tyle wody, żeby się jej stary sztokfisz mógł napić do syta. Bez mego ulubionego czerwonego „ostrana“ byłbym umarł z pragnienia.

Ad. D.

## Z bieżącej chwili.

— Ogłoszone zostały nowe przepisy o eksploatacji kamieni cennych, oraz kolorowych. Przepisy te zajmują miejsce odnośnych artykułów ustawy górniczej.

— *Księga adresowa Warszawy* wyszła świeżo, obejmując zbiór adresów instytucyi, oraz mieszkańców. Wydana nakładem biura komisowego. Księga podzielona jest na dwie części, z których pierwsza obejmuje nazwiska oraz firmy z adresami i określeniem zajęć, druga zaopatrzona jest w dokładny skorowidz. Księga zawiera wykaz wymiaru długości i położenia ulic na przedmieściach Starej i Nowej Pragi, Szmulowizny i Kamionki.

— Fundusz na budowę kościoła Ś-go Floryana na Pradze powiększył się znacznie przez zapis ś. p. Piotra Kruszewskiego, który zapisał na rzecz tej świątyni dom położony przy ul. Targowej, wartości 20,000 rs. Obok tego mieszczą się zapisy pomniejszych, a pomiędzy niemi 1,000 rs., na Schronienie dla paralityków pod wezwaniem Ś-go Władysława, mieszczące się przy ul. Belwederskiej Nr. 4-ty.

— Budowa wystawy higienicznej posuwa się szybko, otwarcie nastąpi też wkrótce, w d. 14 maja. Hala gimnastyczna już została pokryta. Linia tramwajowa wiodąca od ul. Marszałkowskiej przez ul. Kaliksta już jest bliską wykończenia.

— „Przewodnik dla wychowawców“ napisała Aniela Szye. M. Aret, r. 1896, stronic 196. Chmielowski rozbiera to w *Ateneum* i oddaje dziełu pochwały duże, a dla objaśnienia czytelnika pisze *Ateneum* „Autorka znana już dobrze na polu pedagogicznem nie zamierzyła pisać dzieła systematycznego.“

— Na Dynasach na placu od ul. Oboźnej po lewej stronie bramy głównej tworzy się grunt sztuczny pod fundamenta budynku panoramy Tatr. Roboty mularskie już są rozpoczęte; plan budowy wykonał budowniczy Jabłoński, roboty prowadzi budowniczy K. Kozłowski, który podjął się całą budowę za sumę kontraktową wykonać.

— Piotr Stachiewicz wykonał kredką dziewięć kartonów wyobrażających główne bohaterki powieści H. Sienkiewicza „Rodzina Połanieckich.“ Właściwa charakterystyka każdej postaci jest doskonale uchwyciona. Nowy ten cykl prac utalentowanego mistrza ukaże się niebawem na jednej z wystaw sztuki naszego miasta.

— W Tow. Sztuk pięknych wystawiono świeżo szereg portretów kobiecych wykonanych pastelami przez Maryą Nostitz Wasilewską; obok tego spotrzegamy tam Edwarda Okonia dwie postacie kobiece wielkości naturalnej, Ant. Gramatyki „Krajobraz“, J. Rapackiego „Studyum“, A. Kędzińskiego „Rybaki“, W. Weicherta „Przed polowaniem.“ W dziale rzeźb widz spotyka najnowszą pracę A. Kurzawy „Pierwsza garść Bogu.“

— P. R. Strobl, profesor wyższej klasy fortepianu w Instytucie muzycznym usunął się z tego stanowiska; natomiast Aleksander Michałowski, który

również zamierzał opuścić profesurę wyższej klasy fortepianu, od zamiaru tego odstąpił. W Instytucie pozostanie nadal jedna tylko wyższa klasa fortepianu, co uważać można za rzecz racjonalną z uwagi, iż może ona wystarczyć niewielkiej liczbie wybitniejszych talentów wśród uczennic i uczniów, a usunie się dość znaczny wydatek, mogący służyć w innym kierunku działań Instytutu.

— W d. 17 kwietnia Komitet Tow. Sztuk pięknych łącznie z zaproszoną delegacją dokonał zakupu dzieł do rozlosowania między członków Towarzystwa, a to: Józefa Rapackiego „Droga do Hall“, Wład. Maleckiego „Konwój“, Jadwigi Boguckiej „Krowy“, Alfonsy Kanigowskiej „Obrazek wiejski“, Józefa Monczyńskiego „Młyn“, Piątkowskiego „Uśmiech przelotny“, Władysława Warnke „Przed burzą“, Władysława Sznera „Pancerni“, Aleksandra Kozłowskiego „Dzień pochmurny“, Józefa Chełmińskiego „Polowanie“, Juliana Monczyńskiego „Mostek“, Henryka Grabińskiego „Przed burzą“, Leona Szpandrowskiego „Dziwanny“, Apoloniusza Kędzińskiego „Rybacy“ Ludwika Kurelli „Z nad Wisły“, Feliksa Jasińskiego „Zadymka“, Józefa Ryszkiewicza „W stajni“, Teodora Rygięra „Głowa Chrystusa“ (rzeźba). Ogółem zakupiono na ostatnim posiedzeniu 21 dzieł sztuki za sumę 2,898 rs.

— Nowy przytułek dla paralityków będzie zbudowany na placu zakupionym od zbywającej przestrzni pod budowę kościoła Ś-go Augustyna przy ul. Dzielnej. Fundusz, 15,000 rs., jaki za plac ów zapłacono, zostanie użyty na kupno posadzki w nowej świątyni.

— Odbyło się w tych dniach pod przewodnictwem Jana Szlenkera w Warszawskim Towarzystwie dobroczynności posiedzenie wydziału przytułków dla rzemieślników i robotników fabrycznych. Zarząd zawiadomił członków, iż na cel wymieniony nabyto nieruchomości przy ul. Młynarskiej Nr. 3,106 za rs. 18,950. Przytułek otworzy się w. 8 września dla piętnastu pensjonarzy przynajmniej. Rodzina Roeslerów ofiarowała na ten cel 3,000 rs.

— Donoszą z Krakowa, iż wystawiony tam po raz pierwszy w d. 16 kwietnia dramat Sewera ze współpracownictwem młodego literata Micińskiego, zatytułowany „Marcin Łuba“ jest obrazkiem z życia ludu wiejskiego, napisany barwnie i gorąco. Nieobecnego autora publiczność wywołała przy gorących oklaskach.

— W Poznaniu zamknął się z d. 15 kwietnia sezon teatralny. Obecnie Poznańskie Towarzystwo dramatyczne daje przedstawienia na własny rachunek z pewnym zasiłkiem pieniężnym udzielanym od Spółki teatralnej, następnie Towarzystwo wyjedzie na prowincję i dawać będzie przez lato przedstawienia w różnych miastach Księstwa i Prus Zachodnich. Długoletni dyrektor Franciszek Dobrowolski usunie się wkrótce z tego urzędu i zajmie go Zygmunt Przybylski, autor wielu sztuk dramatycznych. Scena nasza ma w Księstwie i okolicach wysokie swoje znaczenie.

— Wzrost ludności w Poznaniu i w okolicach wymaga budowy nowych kościołów i wzniesie się mają we dwóch wsiach podmiejskich dwie świątynie, grunta pod budowę już są zakupione i wkrótce rozpisanym będzie konkurs na plany.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczy“ dołącza się: ark. 11-ty powieści p. t. **Walka serca**, przez Idę Boy-Ed. Przekład z niemieckiego.

**TREŚĆ:** Piosenko moja!..., przez Selima. — **Kędy droga?** Powieść współczesna, przez Wandę Grot-Bęczkowską (dalszy ciąg). — **Ruch muzyczny**, przez Adama Dobrowolskiego. — **List z Anglii**, przez Henryka. — **Nienawidzę**. Nowella. — **Trochę morza**. (Z dziennika podróży Piotra Rosegger'a), przez Ad. D. — **Z bieżącej chwili**.

**Dodatek obejmujące:** **Walka serca**, powieść, przez Idę Boy-Ed. Przekład z niemieckiego, ark. 11-ty. — **Przegląd mód**. 31 wzorów i robót z opisem. **Sekreta gospodarskie**. — **Dyspozycya stołu**.